

Andrzej Zdebik



7 MRO CZNYCH OPOWIEŚCI

Andrzej Zdebik

**Cykl 7 Mrocznych Opowieści o Człowieku
Znikąd...
... i nie tylko**

Mroczny Spis Opowieści

1. [Opowiadanie o Człowieku Znikąd](#)
2. [Wrocławska przygoda Człowieka Znikąd](#)
3. [Atak gada](#)
4. [Trudny egzamin](#)
5. [Długi skrót](#)
6. [Feralny postój](#)
7. [Siódma opowieść - PART I](#)

1. Opowiadanie o Człowieku Znikąd

Człowiek Znikąd szedł 13ta Aleją. Robił to już wielokrotnie wcześniej, lecz pamiętał to jakby przez sen. Nie był pewien niczego. Nawet tego, czy teraz nie śni. Pamiętał zaledwie kilkanaście ostatnich minut - jedynie co do nich mógł być pewien tego, co robił. Resztę stanowiła jedynie papka wspomnień i sennych fantasmagorii. Jego pamięć była niczym ser szwajcarski - dużą jej część stanowiła pustka. I dlatego nie wiedział, skąd w jego kieszeni znalazł się portfel wypchany okazałym plikiem banknotów stu dolarowych. Wśród wielu kwitów które również znajdowały się w portfelu odnalazł rachunek z motelu „Szczęśliwa 13tka”, znajdującego się pod numerem 13tym na 13tej Alei. I to był jego jedyny ślad, który umożliwiał mu rozwiązanie zagadki portfela i poukładanie przynajmniej części jego dziurawego umysłu.

13ta Aleja nie była klasyczną ulicą miasta Nowhere. Ta metropolia była uważana za jedno z najbardziej rozwiniętych miast zachodniej części Stanów Zjednoczonych Europy. Nowoczesne wieżowce centrum wybudowane tutaj po wielkim rozkwicie gospodarczym początku lat 20tych XXI wieku stanowiły o jego wielkości. Peryferia stanowiły stare, lecz bardzo zadbane domy z końca XX stulecia. Jednak 13ta Aleja, położona niedaleko centrum, stanowiła zupełnie inną bajkę. Była niczym żywcem wyjęta z innego, gorszego świata. Tutaj ulokowano wszystkich bezdomnych, wąsających się lumpów i kloszardów. Codziennie dostarczano im pożywienie, pod warunkiem, iż nie będą pokazywać się w mieście. Normalni ludzie mieli prawo wstępu na 13ta Aleję, lecz praktycznie nikt z tego prawa nie korzystał. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby tutaj zawitać. Nie było tu bezpiecznie i nawet policjanci starali się omijać to miejsce szerokim łukiem.

Tymczasem Człowiek Znikąd pokonywał kolejne metry tego mrocznego zaułka. Ubrany w stary płaszcz i wytarte spodnie nie wyróżniał się pośród przechodzących obok niego meneli. Mijał kolejne niegdyś piękne, teraz jednak zrujnowane domy. Jego krok był szybki, tempo jednostajne, pragnął jak najszybciej dojść do celu swojej niezbyt bezpiecznej wycieczki. Nie chciał wierzyć, że „Szczęśliwa 13tka” funkcjonowała nadal. Kto mógł

korzystać z tego motelu? Najwyraźniej od czasu do czasu zatrzymywali się tam jacyś turyści, którzy dziwnym trafem zjechali z wytyczonego szlaku i noc zastała ich akurat na 13tej Alei. On sam jednak nigdy by się na to nie zdecydował.

Zaczynało się ściemniać i to ponure miejsce stawało się jeszcze bardziej nieprzyjemne. Człowiek Znikąd odnosił wrażenie, że w każdej chwili obserwuje go przynajmniej kilka par nieprzyjaznych oczu - starających się wybadać, czy ma on przy sobie coś cennego. Wydawać by się mogło, że stare ubranie nie powinno przyczynić się do ataku na niego, jednak nigdy nic nie wiadomo. Lepiej jak najszybciej dotrzeć do celu. Pozostało do niego jeszcze tylko kilka domów, gdy nagle Człowiek Znikąd zauważył biegnącą z naprzeciwka grupkę mężczyzn. Wiedziony instynktem wskoczył w wysokie krzaki rosnące koło drogi i zniknął w nich całkowicie. Po kilku minutach grupa minęła go zaledwie o jakieś półtora metra. To była jedna z band grasujących na 13tej Alei, która rzekomo została rozbita, jednak rzeczywistość pokazała co innego. Człowiek Znikąd nie miałby żadnych szans w starciu z kilkunastoma członkami tego gangu. Czyżby mieli oni coś wspólnego z portfelem wypchanym pieniędzmi, który miał w kieszeni? Czyżby jego właściciel miał mniej szczęścia w starciu z bandą 13tej Alei? Te nurtujące naszego bohatera pytania pozostawały bez odpowiedzi. Przynajmniej na razie. Nie spodziewał się wtedy bowiem, że wolałby ich nigdy nie poznać.

Kiedy członkowie gangu zniknęli w oddali, wyszedł z krzaków i skierował się ponownie ku motelowi. Doszedł do niego po jakiś pięciu minutach. Zrobiło się już całkiem ciemno i tylko nieliczne, nie rozbite latarnie rozświetlały mrok. „Szczęśliwa 13tka” bardzo pasowała do tego miejsca. Była równie ponura i nieprzyjazna jak cała 13ta Aleja. Z niegdyś świecącego neonu z nazwą motelu pozostało dziś jedynie kilka literek. We wszystkich kilkunastu pokojach było ciemno, tylko na końcu świeciło się światło. Człowiek Znikąd podszedł cicho ku drzwiom do tamtego pokoju, znajdował się na nich napis „Recepcja”. Rozejrzał się dookoła, nie było w pobliżu żywej duszy, i zajrzał przez okno do środka. Siedział tam gruby, tysięjący, nieprzyjemnie wyglądający jegomość odwrócony do niego plecami. Zajęty był oglądaniem meczu i zdawał się niczego poza tym nie dostrzegać.

Człowiek Znikąd cicho podszedł do uchylonych drzwi, zapach papierosów i taniej whisky poczułby chyba nawet, gdyby nie miał nosa. Chciał po cichu wejść do środka, lecz zawiasy zaskrzypiały niemiłosiernie. Portier odwrócił się gwałtownie, popatrzył na Człowieka Znikąd z przerażeniem, jakby zobaczył ducha.

- Ttto tttyy! Jakim cudem jeszcze żyjesz?

- Widać cuda się zdarzają, a możesz mi wyjaśnić, dlaczego miałbym nie żyć?

- Przecież zadarłeś z Gangiem Szurniętego N.! Średnio takiej osobie zostaje 2,5 s życia!

- Chyba zepsuję im statystykę - powiedział z ironią Znikąd.

- Pamiętam, że uciekałeś po dachach tamtych domków w zachodniej części 13tej, po tym jak obrobiłeś Szurniętego N.

- Ja pamiętam tylko, że obudziłem się z potwornym bólem głowy, jak przy najgorszym kacu, w śmieciach przy którymś z tych domków - zaczął się zastanawiać i spojrzał na portfel - czyli tą kaskę zwinąłem Szurnięt...

- Trzask! Nasz bohater nie zdążył dokończyć po tym, jak butelka whisky wylądowała na jego głowie, ogłuszając go.

Ocknął się z jeszcze gorszym bólem głowy w ciemnej komórcie, ze skrępowanym z tyłu rękami. Ten portier jednak nie był takim idiotą, na jakiego wyglądał - pomyślał - mogę się założyć, że nie mam już portfela i zapewne nikt nie postawiłby złamanego centa za to, że przeżyję najbliższy kwadrans. Jego domniemania były jak najbardziej słuszne, gdyż portier już był w drodze do Szurniętego N. Jednak ten gość był idiotą - zauważył z uśmiechem nasz bohater i wyciągnął z buta niewielki scyzoryk, którym rozciął krępujące go więzy.

Kiedy się uwolnił, powoli otworzył drzwi od komórki, w której zamknął go portier. W pomieszczeniu, w którym dał się zaskoczyć, nie było nikogo. Podszedł do biurka i zaczął przeszukiwać szuflady. Była w nich jedynie sterta zbędnych papierów. Nagle natrafił na jedną, która była zamknięta na klucz. Jednak wystarczyło kilkukrotne mocniejsze szarpnięcie, by zamek puścił. W środku pośród wielu dokumentów znalazł swój portfel z całą jego zawartością. Zadowolony wsadził go do kieszeni, kiedy nagle usłyszał

zbliżającą się bandę N. Dobrze, że słyszeć ich już z odległości kilometra - pomyślał i szybko znalazł tylne wyjście z motelu.

Człowiek Znikąd idąc szybkim krokiem zbliżał się do końca 13tej Alei. Z każdym metrem jego umysł odsłaniał mu część prawdy o jego potyczce z Szurniętym N. Gdy dotarł do granicy tej najgorszej części miasta Nowhere powiedział sobie, że jego noga nigdy więcej tu nie postanie. Nie wiedział, że już wkrótce znów tutaj zawita...

2. Wrocławska przygoda Człowieka Znikąd

Człowiek Znikąd znał Wrocław jedynie z opowiadań. Kiedy był mały, jego Babcia opowiadała mu, jak niesamowite jest to miejsce. Jednak od tamtego czasu minęło parę lat i Człowiek Znikąd zastanawiał się, czy Wrocław nie utracił nic ze swojego dawnego uroku. Czy jest nadal tak niesamowitym miejscem, miejscem z opowiadań jego Babci? Cóż, niedługo się przekona. Już za niecały kwadrans jego samolot wyląduje na wrocławskim lotnisku.

Z opowiadań Babci wrocławskie lotnisko przypominało zwykły barak i szczyliło się dumnym określeniem "Międzynarodowy Port Lotniczy". Było to czymś niezwykłym i niestandardowym. Jednak w 2010 roku stary terminal został zrównany z ziemią i na jego miejscu wyrosło lotnisko z prawdziwego zdarzenia - z wieloma terminalami i nowoczesnymi rozwiązaniami. Prawdziwie Międzynarodowy Port Lotniczy. Nie uda mu się więc zobaczyć tego reliktu przeszłości. Ale zamiast tego ma do obejrzenia wiele zabytków i innych ciekawych miejsc, o których opowiadała mu Babcia.

Po kolejnych kilku minutach lotu z głośników w samolocie dobiegł go komunikat, że docierają do celu i za parę minut będą podchodzić do lądowania. Człowiek Znikąd wyjrzał przez okno i ujrzał w oddali, gdzieś w dole małe budyneczki, niewielkie drogi wijące się niczym kreseczki narysowane cienkim pisakiem. Z tej wysokości wszystko było bardzo małe, niemal nierealne, jakby oglądał dzieło dziecka bawiącego się klockami. Jednak z każdą chwilą coraz większe stawały się drogi i budynki w dole - samolot zniżał się do lądowania. Uszy Człowieka Znikąd zatkały się momentalnie, wyciągnął więc cukierek do ssania, żeby temu przeciwdziałać. Najbardziej nie lubił momentu obniżania lotu przed lądowaniem, wydawało mu się, że ciśnienie zaraz rozsadzi mu bębenki.

Na szczęście to uczucie trwało jedynie przez chwilę i gdy tylko samolot dotknął płyty lotniska, nie było po nim śladu. Lądowanie zostało przywitane gromkimi brawami ze strony pasażerów. Polska - pomyślał nasz bohater - nigdzie jeszcze się z czymś takim nie spotkałem.

Takie oto spokojne myśli przychodziły mu do głowy, nie pomyślał jednak, że już wkrótce na jego drodze stanie po raz kolejny Bad Guy, gorszy niż kiedykolwiek i jeszcze bardziej na niego wkurzony.

Port lotniczy rzeczywiście był bardzo nowoczesny i trudno było wyobrazić sobie, że kiedyś był to niewielki budynek przypominający jakieś lokalne lotnisko - pomyślał odbierając swój bagaż i skierował się do głównego wyjścia. Poszedł na przystanek, z którego odjeżdżały autobusy do centrum. Była słoneczna pogoda, lekki wiatr przyjemnie owiewał jego twarz, było to bardzo rozkojarzające. To niedobrze, bo wiedział, że nie może sobie pozwolić na najmniejsze rozproszenie. Ludzie Bad Guya mogli być wszędzie.

Przed lotniskiem stał rząd nowoczesnych autobusów. Nasz bohater wsiadł do pojazdu linii 406 - do centrum. Był on strasznie zapchany. Udało mu się jakoś do niego wcisnąć, ale o miejscu siedzącym mógł jedynie pomarzyć. Po pewnym czasie drzwi zamknęły się i autobus ruszył. Dopiero w tym momencie dało się wyczuć to, co przy otwartych na oścież drzwiach było niemal niewyczuwalne. W pojeździe unosił się odrażający odór.

Człowiek Znikąd rozejrzał się i odnalazł źródło tego zapachu - z boku stał oparty o szybę pan, który wyglądał z leksza wczorajszo. I chyba każdego dnia tak wygląda - pomyślał i zaczął przeciskać się między ludźmi, byle tylko jak najdalej od źródła tego "aromatu". Autobus jechał dość szybko, był to bardzo nowoczesny pojazd, gdyby jeszcze nie był tak zapchany, można by nim podróżować całkiem komfortowo. Powoli ludzie zaczęli się odsuwać od pana brzydko-pachnącego. W sumie to jest dobry sposób na zatłoczone autobusy - pomyślał Znikąd i zaśmiał się w duchu.

Jazda do centrum zajęła niecałe pół godziny i autobus zatrzymał się na przystanku na ulicy Dworcowej. Po drodze część ludzi wysiadła i Człowiek dokończył jazdę w pozycji siedzącej.

Autobus zatrzymał się na przystanku i Znikąd wysiadł razem z pozostałymi osobami, które również obrały go jako cel swojej podróży. Rozejrzał się dookoła i stwierdził, że to miasto jest niby takie samo, a jednak różne od wielu innych miast, które dotychczas widział w swoim życiu. Tutaj życie toczyło się jakby wolniej, każdy spokojnie gdzieś podąża, w innych

miastach ludzie gonili gdzieś i nie mieli nawet chwili czasu, żeby przystanąć i zastanowić się nad tym, gdzie właściwie zmierzają.

Wszystko tutaj było takie samo, ale jednak inne, Człowiek nawet nie spostrzegł kiedy zamarzył się i niemal zupełnie stracił czujność. Byłby w tym momencie łatwym łupem dla ludzi Bad Guya, nawet tutaj, w środku dnia w centrum miasta.

Szybko wyrwał swój umysł w letargu i postanowił poszukać jakiegoś miejsca, gdzie mógłby spędzić noc. Minął dworzec główny, który około 20 lat wcześniej został gruntownie zmodernizowany i odnowiony. W środku znajdowała się galeria handlowa, która zachęcała mnóstwem rozmaitych sklepów. To go jednak nie interesowało, gdyż przypominało mu inne miejsca, gdzie już wcześniej bywał. Chciał odnaleźć charakterystyczne dla tego miasta cechy - i nie była to na pewno galeria handlowa wewnątrz nowoczesnego dworca na miarę lat 30-tych XXI wieku. Wystarczyło jednak rozejrzeć się dookoła dworca - spojrzeć na stare, lecz pięknie odrestaurowane kamieniczki, aby ulec pięknu tego miasta. Nigdzie indziej Znikąd nie spotkał takich budynków. Były one dla niego czymś nowym i odkrywczym. Na jednej z nich dostrzegł szyld "Hostel za żelazną kurtyną" nawiązujący do drugiej połowy XX w. - kiedy Polska nie tylko nie była jednym ze stanów należących do Stanów Zjednoczonych Europy, ale nie była nawet w pełni niezależnym państwem. Właśnie tego szukałem - pomyślał Człowiek i skierował się ku drzwiom wejściowym do kamienicy. Kiedy je otworzył i wszedł do klatki, przeniósł się jakby do innego świata. Na zewnątrz było upalnie, ale tutaj przeszył go niesamowity ziąb. Po jego plecach przeszły ciarki i umysł natychmiast przestawił się na tryb 'maksymalna czujność'.

Kiedy podchodził do znajdującej się na końcu korytarza recepcji portier akurat obsługiwał jednego mężczyznę, który wydał się Człowiekowi znajomy. Podświadomie jego ręka przesunęła się w kierunku kieszeni kurtki, w której skrywał się pistolet. Mężczyzna odszedł od portierni w kierunku wind, zerknął ukradkiem w kierunku Znikąd. Skąd ja go znam? - zadał sobie pytanie Znikąd.

- Słucham Pana? - wyrwał go z zadumy portier, gdyż stanął już przed recepcją. Poprosił o pokój możliwie najwyżej - lubił widok rozciągający się z

okna na dużej wysokości. Portier zaproponował mu 9-te piętro i to go usatysfakcjonowało. Czekał aż dostanie kartę do swojego pokoju a tymczasem otrzymał klucz - nie wiedział, że jeszcze gdzieś coś takiego funkcjonuje, był tak zaskoczony, że zapomniał o widzianym przed chwilą mężczyźnie - miał sobie o nim przypomnieć dopiero w o wiele mniej przyjemnych okolicznościach.

Skierował się w stronę windy i niezbyt zadowolony zobaczył tam kartkę z odręcznie nagryzmołoną informacją - „Winda nieczynna, przepraszamy”. No tak, jasnie pan portier zapomniał o tym wspomnieć - z ironią zauważył Człowiek - i tak strach byłoby czymś takim jechać - pomyślał o przestarzałym urządzeniu, na którym widniała plakietka „Zremb”, do którego miałby wsiąść, gdyby działało.

Za windą znajdowała się ponuro wyglądająca klatka schodowa i Człowiek rozpoczął wspinaczkę niemal na sam szczyt budynku. Klatkę rozświetlało jedynie światło wpadające przez brudne szyby znajdujące się na każdym poziomie. Znikąd nie przejmował się tym jednak i podziwiał coraz to piękniejszą panoramę rozciągającą się z kolejnych pięter.

Niespiesznie posuwał się w kierunku 9-tego piętra, gdzie znajdował się jego pokój. Na 8-mym piętrze jeszcze raz spojrzął przez okno. Roztaczał się tam widok na północną część Wrocławia. Widział w oddali rzekę Odrę, drobne wysepki na niej i liczne mosty umożliwiające przeprawę przez nią.

Stał tak w zadumie i nawet nie zauważył, gdy obniżył się poziom jego koncentracji. Obniżył się do niebezpiecznie niskiego poziomu. Gdy tylko to sobie uświadomił w jednej chwili wyostrzyły mu się zmysły i wyczuł czyjąś obecność za plecami, zanim jeszcze zdążył choćby drgnąć. Przypomniawszy sobie, skąd zna mężczyznę, którego widział na dole. I przypomniał sobie, że nie jest on przyjaźnie nastawiony. Później wszystko potoczyło się w ułamku sekundy. Znikąd odwrócił się i zobaczył tegoż oto mężczyznę - nie pamiętał już jak on się nazywał, pamiętał tylko, że był prawą ręką Bad Guy’a - szarżował na niego z dużą prędkością. Człowiek Z. zrobił unik, lecz niestety za późno. Mafiozo wypchnął go przez okno na 8-mym piętrze, usłyszał tylko brzęk tłuczonego szkła i zrobiło się jasno. Spadał. Spadał z 8-mego piętra na ruchliwą ulicę Kołłątaja. Czy tak miała się skończyć jego wizyta w tym mieście? W roli naleśnika na ulicy?

Wszystko zaczęło mu się rozmywać przed oczami. Świat pociemniał. Po chwili otworzył oczy. Znowu było jasno Nie był naleśnikiem na ulicy Kołłątaja. Nie był nawet we Wrocławiu, lecz w mieście Nowhere. Podniósł się i ruszył ulicą.

Człowiek Znikąd szedł 13ta Aleją. Robił to już wielokrotnie wcześniej, lecz pamiętał to jakby przez sen. Nie był pewien niczego. Nawet tego, czy teraz nie śni...

3. Atak gada

Jeruzalem było niewielką wioską położoną na nizinnych terenach na zachodzie. Życie toczyło się tu w wolnym tempie, stanowiło kontrast dla otaczających je wielkich miast. Stamtąd właśnie przyjeżdżali ludzie zmęczeni szybkim tempem życia, aby móc chwilę odetchnąć, pospacerować po łąkach i lasach leżących wokół wioski, zanurzyć się w którymś z licznych małych jeziorzek i zastanowić nad swoim dotychczasowym życiem. Tutaj mieszkali również Jack i Wendy Torrance, którzy posiadali tutaj domek, niewielką zagrodę, pole i kawałek łąki, na której znajdował się mały staw. Torrence'owie kończyli w tym roku 70 lat i postanowili z tej okazji wyjechać na wycieczkę do luksusowego hotelu Overlook położonego w górach. Martwili się tylko, kto zostanie i zajmie się ich gospodarstwem. Ich wnukowie, którzy kiedyś mieszkali w Jeruzalem, zanim razem z rodzicami przeprowadzili się do wielkich miast, zgłosili się na ochotników. Były wakacje i Andrew, Voytek i Macieyo - bo o nich mowa - chętnie wyjechali w ustronne wiejskie rejony. Pilnowali dziadkom domu i jednocześnie szaleli po okolicy na rowerach górskich. Najczęściej późno kładli się spać i wstawali dopiero na obiad, dzisiejszego ranka wstali jednak wcześniej i jedli razem śniadanie. Nie byli wtedy nawet w stanie wyobrazić sobie, jak bardzo przerażający będzie to dzień.

Po śniadaniu chłopaki dopełnili swoich domowych obowiązków - wypuścili kury z kurnika, nasypali im paszy i nalali wody. Zdezorientowane zwierzęta nie wiedziały, co się dzieje, czemu tak wcześnie zostały wypuszczone. Potem zamknęli dom, wsiedli na rowery i ruszyli w trasę. Jechali wolnym tempem obok siebie co chwila komentując mijane domy i zagrody czy też napotykanych po drodze ludzi. Słońce było jeszcze nisko nad horyzontem i panował przyjemny chłód. Czas szybko leciał, po przejechaniu wzdłuż wioski, wyruszyli na przełaj przez pobliskie łąki. Kiedy zaczęło się robić gorąco wjechali do niewielkiego lasu i tam się zatrzymali. Napili się wody i położyli się na trawie. Nawet nie wiedzieć kiedy zapadli w drzemkę. Obudzili się po godzinie, kiedy upał dawał już o sobie znać nawet w lasu. Czas wracać na obiad - pomyśleli. Wsiedli na rowery i pojechali do domu.

Kiedy do niego weszli przywitał ich przyjemny chłód. Siedzieli sobie spokojnie w ostatnim pokoju i nic nie zwiastowało katastrofy, dopóki nie zobaczyli na horyzoncie zmierzającego ku nim Tyranozaura. Zmroziło ich to momentalnie. Wielki gad przeszedł na drugą stronę drogi i wszedł do ich ogródka. Zobaczył ich przez szybę i zaczął zmierzać w ich kierunku. A oni nie mogli się ruszyć, byli jak sparaliżowani. Nie wiedzieli, że coś takiego może dziać się naprawdę.

Kilka sekund później z letargu wyrwał ich dźwięk tłuczonego szkła. Nie wiedzieć kiedy paszcza Tyranozaura znalazła się blisko nich.

- Nie ruszajcie się, to nas nie zobaczy! - krzyknął Voytek.

To jednak nie był Tyranozaur jak z Parku Jurajskiego, lecz potworne monstrum, mutant z wyglądu przypominający Tyranozaura, lecz nie wiadomo czym był w środku. Jego paszcza zbliżyła się do Andrew i ten zrozumiał, że gad jednak go widzi.

- Spadamy stąd! - wrzasnął i w jednej chwili wszyscy trzej zerwali się na równe nogi i wśród odłamków szkła wybiegli z pokoju.

Przebiegli do pokoju, który leżał obok kuchni. Macieyo zaciągnął roletę, aby Tyranozaur ich nie spostrzegł. Trwali tak w ciszy i każda sekunda wydawała im się wiecznością. W pewnym momencie usłyszeli z zewnątrz głos. Początkowo wydawało im się, że to jedynie głos w ich myślach.

- O, ciekawe, wszystkie okna są odsłonięte, tylko to jedno zasłonięte.

W jednej chwili wszystkich trzech ciarki przeszły po plecach. To mówił do nich Tyranozaur. Jeszcze dobrze nie dotarło do nich, że widzieli Tyranozaura, a co dopiero gadającego!

W pewnym momencie na rozświetlonej słońcem roletcie pojawił się cień w kształcie paszczy gada. Każdy z nich zrozumiał wtedy, że nie ma czasu do stracenia.

- Uciekajmy na górę! - ryknął Macieyo.

W biegu opuścili pokój na ułamek sekundy przed tym, jak paszcza Tyranozaura wdarła się do środka. Pobiegli na górę tak szybko, że omal nie powywracali się na schodach. Kiedy wbiegli do pokoju, Andrew zasunął za nimi zasuwkę. Powoli zbliżyli się do okna. Tak wysoko paszcza gada nie powinna ich dosięgnąć, a jednak lepiej dmuchać na zimne.

Wyjrżeli na zewnątrz i na drodze w oddali ujrzeli przemierzającego się majestatycznie Tyranozaura. Tym razem im się udało, ale w umyśle każdego z nich zrodziła się myśl, że kiedyś będą musieli opuścić bezpieczne schronienie w pokoju na górze. Nie wiadomo, czy coś nie będzie na nich czekać...

4. Trudny egzamin

Eleonora siedziała nad książkami - był piątkowy wieczór i jej współlokatorzy wyjechali do domów. Ona jednak została. Wiedziała, że tutaj, w ciszy i spokoju, będzie mogła lepiej przygotować się do poniedziałkowego egzaminu. Był listopad i za oknem szybko zrobiło się ciemno. Upstrzone kolorowymi liśćmi drzewa zniknęły w mroku. Panowała niczym niezmącona cisza.

Eleonora posiliła się, wsadziła do odtwarzacza CD płytkę Vivaldiego i puściła cicho muzykę. Otworzyła książkę do Makroekonomii na kolejnym rozdziale i zaczęła czytać, co chwila wynotowując w zeszycie co istotniejsze informacje. I tak powoli płynął jej czas. Przewracała kolejne strony książki, zeszyt zapełniał się nowymi wpisami, a Eleonora była niczym pogrążona w transie. Minęła 17-tą, potem 18-tą i dziewczyna poczuła się trochę zmęczona. Zrobię sobie chwilkę przerwy - zdecydowała. Wstała z krzesła, przeciągnęła się i usiadła wygodnie na kanapie. W głowie wirowały jej dane makroekonomiczne, które przed chwilą pochłaniała. Całe szczęście, że dzisiaj sąsiedzi na górze są cicho - pomyślała. Przez ostatnich kilka dni wieczorami dało się tam słyszeć dziwne, trudne do opisanego odgłosy. Były to niby stuki, a jednak nie stuki. Coś zupełnie abstrakcyjnego i trudnego do wyjaśnienia. Studentka zastanawiała się, kto tam mieszka na górze. Nigdy nie widziała swoich sąsiadów z piętra wyżej. A może widziała, może mijała się z nimi wychodząc na uczelnię bądź wracając do mieszkania ze sklepu, ale w spotykanych po drodze osobach nie dostrzegła niczego nadzwyczajnego, nikt z mijanych po drodze ludzi nie pasował do jej wizji lokatorów z wyższego piętra. Możliwe jednak, że ich widziała, że rzucała im przelotne „cześć” lub „dzień dobry” nawet nie wiedząc, że to oni. Właściwie czemu mieliby się jakoś wyróżniać, może - przynajmniej zewnątrz - nie wyróżniali się na tle innych ludzi, ich powierzchowność zupełnie nie pasowała do ich wnętrza. Bo czyż można rozpoznać po wyglądzie np. psychopatycznego zabójcę? Pewnie czasem tak, ale często niczym się on nie wyróżnia w tłumie zwykłych ludzi. Eleonora nie wiedziała czemu uważała swoich sąsiadów z góry za odbiegających od powszechnie rozumianej „normalności”.

Ostatni utwór Vivaldiego dobiegł końca i zapanowała głucha cisza. Ciemność rozświetlała jedynie mała lampka stojąca na biurku. Za oknem pozapalane latarnie na podwórku dawały jedynie delikatne światło, nie będące w stanie przebić się przez mrok nocy. W takich właśnie chwilach każdy pojedynczy stuk czy szmer jest w stanie wystraszyć człowieka. Nasza bohaterka oczekiwała takich odgłosów, jednak wokół panowała niczym niezmacona cisza. Popatrzyła na sufit. To stamtąd spodziewała się niepokojących dźwięków, ale jak na razie sąsiedzi nie spełniali jej oczekiwań. Z jednej strony dobrze, a z drugiej czuła się trochę zawiedziona. Pomyślała, że tym razem nagra te odgłosy i będą mogli z pozostałymi współlokatorami je sobie przeanalizować. Ale na razie jej dyktafon pozostawał bezużyteczny. Tylko cisza i cisza. Naszej bohaterce nie chciało się nawet wstać, aby ponownie włączyć płytę w napędzie CD. Tylko siedziała, wsłuchiwała się w otaczającą ją ciszę i próbowała zgłębić niemal nieprzenikniony mrok nocy. Siedząc w swoim pokoju czuła się bezpiecznie, mimo iż była sama w mieszkaniu. Świadoma była jednak, że wkoło otaczają ją ludzie - w sąsiednich mieszkaniach. I znowu wróciła myślami do tajemniczych lokatorów z mieszkania powyżej. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie zrobić sobie małej wycieczki na piętro wyżej - piętro tak bliskie i jednocześnie wydające się tak odległym. Mogłaby pójść i po sąsiedzku poprosić o pożyczenie czegoś - ot, szczypty soli lub czegoś innego. Zastanawiała się, czy w dzisiejszych czasach ludzie jeszcze coś takiego praktykują. Czy też raczej każdy odgradza się murem od sąsiada, starając się jak najbardziej chronić swoją prywatność. Eleonora siedziała wygodnie na kanapie, jednak była coraz bliższa decyzji wyjścia z mieszkania i wycieczki na wyższe piętro. Z jednej strony bała się, z drugiej jednak ciekawość okazała się silniejsza. Dziewczyna wstała z kanapy i wyszła z pokoju, nawet nie gasząc lampki. Jeszcze chwila i się rozmyślę - pomyślała i szybko wzięła z kuchni niewielką szklankę, następnie wciągnęła buty i była gotowa do wymarszu. Serce łomotało jej jak w końcowej fazie biegu na kilometr. Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła nosem powietrze. Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Wolnym krokiem skierowała się ku schodom, mocno ściskając w ręku szklankę - literatkę. Nagle w klatce zapanował mrok. Serce dziewczyny, które już nieco się uspokoiło, znowu rozpoczęło pracę na wysokich obrotach. Trwało to chwilę, która wydawała jej się wiecznością - gdy nic nie widziała i słyszała tylko serce łomoczące w

jej piersi. Dopiero po chwili jej wzrok zaczął rozpoznawać kształty w ciemności i ręką sięgnęła włącznika światła. Jasność ogarnęła cały pion sprawiając, że miejsce, które jeszcze przed chwilą wydawało się przerażające, stało się miłe i przyjemne. Pan Józek powinien pilnować tego oświetlenia na parterze - pomyślała. Osiedlowy konserwator rzeczywiście nie do końca pilnował swoich obowiązków. Często spalona żarówka w lampie na dole, która powinna się zawsze świecić w nocy, sprawiała, że niemal całkowita ciemność zalegała w klatce. Ktoś się przez niego kiedyś zabije - Eleonora na chwilę zapomniała o celu swej wyprawy, szybko jednak spalona żarówka poszła w niepamięć i zaczęła pokonywać kolejne stopnie w drodze na wyższe piętro.

Znowu dotarło do niej, jak bardzo tu jest cicho. Słyszała własny, niespokojny oddech. Wdech i wydech, wdech i wydech. Koncentrowała się tylko na tym, aby stawiać kolejne kroki. Wreszcie pokonała ostatni ze stopni, następnie zrobiła kilka kroków i stanęła przed drzwiami do mieszkania numer 8. Nie zastanawiając się długo, wyciągnęła rękę i zadzwoniła. Ostry dźwięk dzwonka przeszył jej umysł. Wydawało jej się, że słyszą go wszyscy mieszkańcy kamienicy. Jednak nie było żadnej reakcji. Serce studentki spowolniło tępo bicia. Chyba jednak nikogo nie ma - pomyślała po części uradowana, a po części zawiedziona. Spróbowała jeszcze raz - zero reakcji. Ostatnia próba - pomyślała - ale tym razem zastukam. Uderzyła kilkukrotnie w stare, drewniane drzwi i przy ostatnim uderzeniu nagle drzwi uchyliły się z lekkim skrzypnięciem. Eleonora zamarta. Uciekłaby do swojego mieszkania, gdyby tylko mogła się ruszyć. Ale nie była w stanie. Patrzyła tępo na uchylone drzwi z trudem łapiąc oddech i kurczowo ściskając szklankę. Minęło kilkanaście sekund, które jednak dla niej okazały się wiecznością. Powoli paraliż ustępował i Eleonora mogła już odejść od tych uchylonych na kilka centymetrów drzwi, wrócić do mieszkania do swoich zajęć i zapomnieć o tej małej wyprawie, Mogła, lecz równocześnie jak odzyskiwała spokój ducha, wzbierała w niej ciekawość, co kryje się za tą ciemną szczeliną. Jej ręka niemal bezwładnie powędrowała ku drzwiom i pchnęła je tak, że otworzyły się do połowy. I wtedy nogi niemal będąc poza kontrolą wkroczyły do akcji. Eleonora weszła.

- Halo, jest tu kto? - ledwo wydała z siebie ciche zapytanie, ciągle idąc do przodu - w głąb ciemnego korytarza. Gdzieś tu musi być włącznik

światła - pomyślała i zaczęła po omacku sunąć naprzód. Nagle usłyszała - trrach - drzwi zamknęły się z tak głośnym hukiem, że Eleonora aż podskoczyła, wypuszczając z rąk szklanę, która z przeraźliwym dźwiękiem rozbiła się na tysiące kawałeczków. Zapadła zupełna ciemność. Eleonora spanikowała. Oglądała się - przed siebie - za siebie - przed siebie - jeszcze raz za siebie. Słyszała tylko swój oddech i bicie serca. Zaczęła rękami szybko szukać włącznika - nie zważała na rozdeptywane szkło, tylko panicznie szukała włącznika - on gdzieś tu musi być! Zaczęła wywracać coś - ale co? To nie rzeczy - zauważyła - w dotyku to przypomina - skórę? Ludzką skórę??? Obejrzała się w prawo i zobaczyła dwa płomyczki - ktoś idzie ze świeczką? Nie, są za ciemne - ale się zbliżają. Są coraz bliżej i bliżej. Nogi przełączyły się na wsteczny. Eleonora potykając się zaczęła przemieszczać się tyłem w głąb korytarza. Ale dwa czerwone płomyki były coraz bliżej. Korytarz się skończył. Płomyki - nie - to oczy - świecące na czerwono oczy - były już przy niej. Szybko dotarł również swąd rozkładającego się ciała - usiadła na leżących trupach. Oczy naszej bohaterki przyzwyczały się do ciemności, choć zapewne wołałaby, aby tak się nie stało - bo oprócz oczu zobaczyła przerażającą twarz, monstrum uniosło rękę i zobaczyła błysk siekiery. Nie! - krzyknęła, ale tylko w myślach, usłyszała głośny stuk i stała się jasność - i zobaczyła - sufit swojego pokoju. Leżała na kanapie. Kolejny stuk. Eleonora nigdy w życiu nie weszła na wyższe piętro.

5. Długi skrót

Ralf nie miał zamiaru wracać do swego mieszkania - wynajmowanego jeszcze przez kilku jego znajomych - przy 14th Street. Chciał przenocować u kogoś w apartamentach położonych w dzielnicy Down-Hill i dopiero rano wrócić do siebie. Jednak impreza zapowiadana jako „cool” była dla niego zdecydowanie „not cool”. Melancholijny nastrój, jaki ogarnął go kilka dni temu, tylko się pogłębił.

I tak oto szedł wolnym krokiem w kierunku centrum, niewiele myśląc, tylko przebierając miarowo nogami. Wszystko mu było obojętne. Puste ulice jedynie pogłębiały jego kiepskie samopoczucie. Świadomość, że Colfax Avenue to jedna z najdłuższych ulic w Stanach też mu nie pomagała. Chyba czeka mnie z dwie godziny „miłego spacerku” - pomyślał. Machinalnie przebierał nogami, niespiesznie posuwając się do przodu. Starał się znaleźć coś, co by go choć trochę pozytywnie nastawiło. Jednak nic takiego nie przychodziło mu do głowy - mijał kolejne latarnie rzucające słabe światło na drogę, kolejne skrzyżowania, na których mrugały tylko pomarańczowe światła. Pomyślał, jak to na początku nie mógł się przyzwyczaić do amerykańskich krzyżówek - nieco innych niż jego „domowe” - europejskie. Sygnalizatory za skrzyżowaniem, zmiana światła z czerwonego od razu na zielone z pominięciem żółtego czy też przejścia dla pieszych na skos skrzyżowania - to tylko niektóre z tych niuansów. Pamiętał, jak go to zaciekało na początku pobytu w Stanach. I oto właśnie takie skrzyżowanie miał przed sobą. Jeszcze jeden niuansik - uśmiechnął się - nazwa ulicy przecinającej jest na dużej tablicy nad skrzyżowaniem, nie ma problemu z odczytaniem nazwy bocznej ulicy. „14th Street” - przeczytał tablicę stanął jak wryty. Jak to możliwe? Ulica, na której mieszkam? Przecież ona się zaczyna jakieś dwie mile stąd! - nie mógł uwierzyć, ale napis wyraźnie informował o „14tce”. Niemożliwe, czyżby tu był też jakiś mostek nad Arkansas River? Myślałem, że w pobliżu można się przedostać tylko przez Colfax. Ale skoro „14ta” biegnie już tutaj, to musi być jakiś most. Stał i wahał się - zapomniał o kiepskiej imprezie i ostatnich dniach. Zaczął się zastanawiać, czy nie skręcić w prawo. Byłoby o wiele krócej - pomyślał - i ciekawiej, nowa droga, którą jeszcze nie szedłem.

Ralf był rozdarty między dwoma biegunami - z jednej strony chciał bezpiecznie dojść do swojego mieszkania - czyli lepsza byłaby droga tradycyjna, z drugiej jednak ciekawość ciągnęła go w tajemniczą drogę na prawo. Nie zastanawiając się dłużej - żeby przypadkiem zdrowy rozsądek nie wziął góry nad spontanicznością - skręcił w prawo i zaczął szybko podążać nową drogą. Była ona dosyć szeroka, wyglądała, jakby dopiero co został wylany na niej asfalt. Szło mu się bardzo dobrze - nastrój mu się poprawił i zaciekawiony był nową okolicą, przez którą przechodził. Po lewej i po prawej wznosiły się nowe bloki i domki jednorodzinne. To chyba jakaś dzielnica willowa - pomyślał i z zaciekawieniem rozglądał się dookoła. Jego uwagę przykuły luksusowe samochody zaparkowane po obu stronach drogi i na podjazdach domków. Poczynając od wielkich amerykańskich krążowników - Cadillaców i Chevroletów rodem z lat 60-tych i 70-tych, poprzez wielkie terenówki emanujące chromem aż po europejskie i japońskie luksusowe Audi, BMW, Lexusy i Infinity. Były tam również sportowe auta - najnowsze Porsche i Ferrari, jak również bardziej klasyczne Mustangi z lat 60-tych.

Przyglądając się napotkanym autom Ralf nie zauważył, że przeszedł spory odcinek, zagłębił się w tajemniczą dzielnicę. Nawet nie spostrzegł jak auta zaczęły być coraz gorsze. Elegancko odrestaurowane zabytkowe Mustangi zmieniły się w coraz bardziej zdezelowane i pokryte rdzą wehikuły. Ralf cały czas je oglądał, szedł dalej i dalej. Opamiętał się dopiero, gdy dostrzegł, że następne auta to po prostu poporucane wraki z powybijanymi szybami, bez kół i z pogniętymi karoseriami. Dopiero teraz, gdy oderwał wzrok od aut, spostrzegł, jak bardzo zmieniła się okolica. Luksusowe wille zamieniły się w rudery, eleganckie osiedla - w ruiny. Nowa, szeroka droga była teraz pełną dziur i wybojów podrzędną dróżką.

Ralf przyspieszył kroku. Przyglądał się upiornym blokom po obu stronach drogi i serce łomotało mu przeraźliwie. Gdyby nie świecący jasno księżyc byłoby tu kompletnie ciemno, bo w żadnym oknie nie paliło się światło, w żadnym nie było nawet szyby, a uliczne latarnie wszystkie co do jednej były potłuczone. A księżyc świecił tak jasno - dziwnie jasno. Ralf dopiero teraz przyjrzał mu się - był wielki, większy niż kiedykolwiek i zabarwiony na upiorny, pomarańczowy kolor. Chłopak przystanął i wpatrywał się w ten księżyc jak zahipnotyzowany. Nie był w stanie oderwać

od niego oczu. Księżyc zawładnął nim totalnie. Nagle niedaleko za nim uderzył grom - niczym przysłowiowy grom z jasnego nieba - przecież na niebie nie ma żadnej chmurki - zdziwił się wyrwany z przeraźliwego odrętwienia Ralf - obrócił się i w odległości jakichś dwustu metrów za nim zapłonęło drzewo - rażone przed chwilą piorunem. Spojrzał w niebo - było ono czarne od nadciągających chmur burzowych. W mgnieniu oka dotarły do niego i poczuł uderzenia pierwszych kropel deszczu na ciele. Nie był to łagodny letni deszczyk, lecz zimny opad szybko przeistaczający się w ulewę.

Czarne chmury dopadły księżyc i spowiły go nieprzeniknionym całunem. W jednej chwili zapanowała niemal całkowita ciemność. Nasz bohater - zmoknięty i wystraszony, zaczął biec w kierunku pobliskich bloków - czy raczej tego, co z nich zostało. Wbiegł do środka przez otwór, który kiedyś był drzwiami akurat w chwili, gdy ulewa osiągała apogeum. Cały był przemoczony, ale i tak nawet nie zwrócił na to uwagi. Był przerażony. Wyglądał przez otwór drzwiowy na to, co działo się na dworze - nawałnica z każdą chwilą przybierała na sile i nic nie zapowiadało, że będzie mógł szybko opuścić swe schronienie. Pioruny raziły co chwila, jakby Stwórca urządził sobie na ziemi strzelnicę i kilka rażonych piorunami drzew mimo ulewy stało w płomieniach.

Ralf dygotał - nie wiedział sam, czy z przeraźliwego zimna, czy z przerażenia. W środku wcale nie było lepiej niż na zewnątrz - niby nie padało mu nic na głowę, ale oprócz zimna dawał mu się we znaki straszliwy smród panujący w jego schronieniu. Chyba od dawna nikt tu nie mieszka - pomyślał i zajrzał w głąb budynku. Niestety, mimo iż długo się wpatrywał, panowała tam jedynie ciemność - to również nie działało na niego pogrzipiająco. Nie wiedział, czy wejść dalej do mieszkania, czy lepiej się stąd wynosić, więc na razie tkwił tuż za drzwiami przemoknięty i złękniiony.

Pioruny uderzały coraz bliżej i Ralf wystraszony cofnął się w głąb. Odwrócił głowę i powoli ciemność zaczęła nabierać kształtów. Był w długim na około 10 metrów korytarzu, od którego biegły 3 wejścia dalej. Bramka nr 1, 2 czy 3? - pomyślał. Jego oczy na tyle przyzwyczały się do ciemności, że mógł już wyraźnie rozpoznać stare, drewniane drzwi w każdym z trzech wejść. Ostatnie drzwi po lewej stronie jako jedyne były uchylone. Ale biła z nich ciemność. Ralf zaczął z wolna przemieszczać się w stronę tych drzwi. Może tam będzie choć trochę cieplej - zastanowił się i wybrał - jak się

potem okazało - opcję najgorszą z możliwych. Ale wtedy tego nie wiedział. Wtedy pragnął jedynie znaleźć się w miejscu, gdzie będzie choć odrobinę ciepłej.

Po kilku ostrożnych krokach znalazł się przed drzwiami. Pchnął je delikatnie i jednocześnie sam usunął się nieco na lewo. Co ja robię, za dużo się naoglądałem filmów, przecież nikt do mnie nie strzeli - zaśmiał się sam do siebie, gdy jego oczom ukazał się kolejny pusty korytarz - na pewno nikogo tu nie ma. Kiedy już się trochę rozluźnił, gotowy iść dalej, nagle usłyszał cichy jęk. Usłyszał? Nie, nic nie słyszał. Poza piorunami i innymi odgłosami nawałnicy na zewnątrz. Już prawie przekonał siebie, że to był jedynie wymysł jego wyobraźni, gdy jęk się powtórzył. Ralf stanął jak wryty. Nogi miał jak z waty. Tysiące pytań zaroilo się w jego głowie. Co? Jak? Dlaczego? Kto tu? Mijały upiorne sekundy, kiedy nasłuchiwał, czy czegoś nie usłyszy ponownie. Tym razem już nie zdołał oszukać samego siebie - ktoś rzeczywiście jęknął, a on stał w drzwiach korytarza i zmrożony strachem nie mógł się ruszyć. Gdyby mógł, już uciekałby przez nawałnicę w kierunku domu.

Po chwili jednak ciekawość ponownie wzięła górę nad strachem i postanowił sprawdzić, co kryje się za drzwiami, które znajdowały się kilka metrów przed nim. Niewiele myśląc zrobił parę kroków naprzód i otworzył drzwi. Serce łomotało mu niesamowicie, jednak za drzwiami ukazał mu się jedynie średniej wielkości pokój z małym oknem po prawej, przez które wpadała odrobina światła. Okno pozbawione było szyb i gołe ramy co jakiś czas skrzypiały poruszane wiatrem. Oto i moje jęki - pomyślał i zaśmiał się na myśl, jak to wyobraźnia potrafi płatać figle. Nagle coś dotknęło jego nogi. Odkoczył jak porażony na bok i przewrócił się o stojący obok niski taboret. Upadł na plecy na zimną podłogę wyłożoną deskami. Szybko podniósł głowę, ale sparaliżował go strach i nie mógł wstać. Usłyszał szmer z ciemnego zakątka pokoju i na ścianie zobaczył wielki cień tego czegoś. Zaczęło się zbliżać, słyszał wyraźnie tego kroki. Tylko czekał, aż wyda z siebie przeraźliwy ryk, lecz zamiast tego usłyszał tylko ciche „miau”. Uderzająca w pobliżu błyskawica rozświetliła na moment cały pokój i dostrzegł niewielkiego, rudego kota wystraszonego bardziej niż on. Kot powoli podszedł do niego. Ralf wyciągnął rękę i pogłaskał go. A gdzież się

podziali Twoi właściciele - pomyślał. Kot był wyraźnie rad z jego towarzystwa i on również poczuł się rażniej.

Dopiero teraz przyjrzał się pokojowi, w którym przebywał. Był on całkowicie zdemolowany, ale kiedyś na pewno prezentował się okazale. Resztki starodawnych mebli wyraźnie o tym świadczyły. Co tu się u licha stało - zadawał sobie pytania Ralf. W pewnym momencie kot nagle odwrócił głowę w kierunku drzwi. Ułamek sekundy później zaczęły stamtąd dochodzić dziwne, niewyartykułowane dźwięki. Do Ralfa dotarło, że będą mieli gości - właśnie wchodzą do budynku, jeszcze tylko jeden dłuższy i jeden krótszy korytarz i będą tutaj. Może wejdą do innego mieszkania - miał nadzieję. Jednak odgłosy zbliżały się. Kot zaczął się cofać. Ralf zrozumiał, że to nie kolejne miłe i potulne zwierzątko domowe na chwilę przed tym, gdy zaczęły wyłaniać się z mroku. Może były kiedyś ludźmi, ale teraz ich jedynym celem było zdobywanie pożywienia - mięsa - najlepiej ludzkiego mięsa.

Stwory zaczęły się przepychać przez pierwsze drzwi. Gdy dostrzegły Ralfa, przyspieszyły i - trając się nawzajem - przedostawały się do korytarza biegnącego do pokoju. Ralf w ostatniej chwili podbiegł i zamknął drzwi. Impet, z jakim te stworzenia uderzyły o nie odrzucił go na bok, szybko wrócił jednak i ciężarem ciała starał się utrzymać drzwi, gdy zobaczył lśniąca u góry zasuwę. Zasuwał ją tuż przed tym, gdy zmasowany atak stworów ponownie naparł na drzwi. Zaskrzypiały przeraźliwie, ale wytrzymały. Nie na długo - obawiał się Ralf - i w panice rozglądał się po pokoju za czymś, czym mógłby zastawić drzwi. Niestety nic takiego nie znalazł. Kolejny zmasowany atak na drzwi sprawił, że prawie wyleciały one z zawiasów. Zaraz tu się wedrą - w coraz większym przerażeniu myślał Ralf, gdy nagle usłyszał przeciągłe miauknięcie kota. Stał on na parapecie i wyskoczył przez okno. Ralf oprzytomniał. Przecież jestem na parterze - pomyślał i nie tracąc czasu poszedł w ślady kota, słysząc tylko za sobą, jak drzwi rozpryskują się w drobny mak pod naporem stworów. Nie zastanawiając się, co jest za oknem, rzucił się przez okno jak bramkarz broniący drużynę przed utratą gola. Na szczęście grunt na zewnątrz był miękki i zamortyzował upadek. Ralf momentalnie podniósł się i zaczął biec tak szybko, jak tylko potrafił. W jednej chwili znowu przemókł do suchej nitki, ale nie zwracał na to uwagi. Nie przeszkadzał mu już przejmujący ziąb,

tylko biegł i biegł. Nie obejrzał się ani razu. Mijał czas, a on ciągle biegł, byle przed siebie, nie wiedząc samemu jak długo, aż nagle nogi odmówiły mu posłuszeństwa i runął jak długi na mokrą trawę. Leżał tak, oczekując najgorszego, głową do ziemi. Chciał wstać i pobiec dalej, ale nie mógł, był zbyt wycieńczony. Było mu już wszystko obojętne. Gdy po kilku minutach nadal nikt go nie dopadł, spostrzegł nagle, że trawa pod nim wcale nie jest mokra - jest sucha i ciepła. Powoli uniósł głowę. Słońce wysoko na niebie ogrzało mu twarz. Rozejrzał się - po zdewastowanych budynkach i nawałnicy nie było śladu. Był pod swoim domem. Przyłożył głowę do trawy i zasnął.

6. Feralny postój

Ówczesna zima była godna zapamiętania. Po kilku niemal bezśnieżnych latach, tamtego roku spadło mnóstwo śniegu. Wszędzie spiętrzały się hałdy białego puchu. Spadła również temperatura, przekraczając granicę minus 20 stopni Celsjusza. Co starsze samochody, których właściciele nie byli szczęśliwymi posiadaczami garaży, miały problemy z odpaleniem. Wkoło zawitał paraliż. Komunikacja miejska biła rekordy jeżeli chodzi o spóźnienia autobusów i tramwajów. Wiele szkół i przedszkoli zostało pozamykanych. Tak było do połowy stycznia. Potem w miarę jak śnieg zaczął topnieć, sytuacja powoli wracała do normy. W lutym można było już spokojnie przejechać nawet góorskimi drogami i tłumy ludzi rzuciły się na dobrze ośnieżone stoki narciarskie. Także Emily i Bobby, którzy byli zapalonymi narciarzami, wybrali się w tamte rejony, aby poszusować co nieco. Udało im się pozaliczać zimowe egzaminy, ostatnie na ich studiach, gdyż byli na piątym roku. Teraz pozostało jedynie dokończyć prace magisterskie i obronić się, ale to za parę miesięcy. Teraz nie myśleli o tym - tylko jechali w kierunku widniejących na horyzoncie gór, 3-litrowy V6 delikatnie pomrukiwał spod maski Mondeo ojca Emily.

204 konie sprawiały, że niewiele aut mogło się z nimi ścigać, jednak Emily jechała spokojnie, z rzadka jedynie korzystając w pełni z ich usług. Generacji MK6 Mondeo ten silnik był prawie najmocniejszy, prawie - bo była jeszcze usportowiona wersja ST220, która z tej samej pojemności V6-ki osiągała 226 koni. Bobby uważał, że ojciec Emily mógł kupić którąś wersję TDCI - 2.0 130 lub 2.2 155 koni- diesla o mocy co prawda nieco mniejszej niż benzynowiec, lecz o większym momencie obrotowym.

- Kopyto miałby podobne, a o ile mniej by spalał - argumentował - nasza podróż byłaby o niebo tańsza.

- Nawet nie porównuj terkoczącego traktora z jedwabistie pracującą benzynową V6-tką - zjechała go Emily.

- Traktora? Przecież dzisiaj w dieslach prawie nie słychać ich brzmienia!
- zirytował się Bobby.

- Chyba głuchy jesteś, każdy diesel chodzi jak traktor! - przekomarzała się z nim Emily.

Bobby'ego naprawdę nie denerwowało to, że jego dziewczyna się z nim sprzecza w tej kwestii, lecz fakt, że tak naprawdę lepiej się ona znała na autach od niego. Dlatego starał się za wszelką cenę wygrać w którejś dyskusji z nią na temat samochodów, choćby nawet popierał jej zdanie.

Właśnie zamierzał wytoczyć kolejną tezę przeciwko benzynowcom, gdy usłyszał, że w radiu rozpoczęły się wiadomości lokalne - dam głośniejsze - powiedział podkreślając dźwięk - może coś powiedzą o dzisiejszych warunkach na stoku.

Jednak zamiast wieści o pogodzie, usłyszeli coś, czego najchętniej by nie słyszeli. Przejechali jeszcze parę kilometr, zanim zdołali wyksztusić z siebie jakieś słowa. W ich umysłach pojawiła się jedna myśl - zawracać! Nie jechać dalej!

- Straszne - przerwał w końcu ich milczenie Bobby.

- No - półstówkiem zdołała jedynie odpowiedzieć Emily.

- Kto mógł zrobić coś takiego - zastanawiał się Bobby.

- Nie wiem - Emily cały czas była w szoku.

Mimo przerażenia postanowili jechać dalej.

- Trzeba będzie koniecznie trzymać się miejsc pełnych ludzi - zdecydował Bobby.

- Dobrze - przytaknęła Emily.

Byli w zupełnie innych nastrojach, niż zaledwie 10 minut wcześniej, gdy spiker radiowy wypowiadał pierwsze słowa:

Przerywamy blok muzyczny, aby nadać państwu przerażający komunikat. Pół godziny temu w barze „Dobry flaczek” w Łądku Zdroju znaleziono zmasakrowane zwłoki dwójki młodych ludzi - chłopaka i dziewczyny w wieku około 20 lat. Dotychczas nie zidentyfikowano ciał, gdyż zostały one w brutalny sposób okaleczone, ich wnętrzności zostały wypatroszone. Śledczy nie są nawet w stanie stwierdzić, czy dokonali tego ludzie, czy dzikie zwierzęta żyjące w pobliskich górach, które dotychczas nie wchodziły jednak na teren miasta.

Sądzymy, że miało to miejsce dzisiaj około 8:30 rano - wypowiadał się jeden z wezwanych na miejsce zbrodni oficerów policji - ofiary weszły do lokalu sądząc, że jest on otwarty, oczywiście każdy z mieszkańców lub stałych bywalców wie, że „Dobry flaczek” otwierają o 9-tej, tak więc musieli oni być nietutejsi. Nie wiemy, dlaczego drzwi baru były otwarte, ale prawdopodobnie ktoś się włamał do środka lub właściciel po prostu zapomniał je zamknąć poprzedniego wieczora - wszyscy znamy starego Hank’a i wiemy, że w piątkową noc nie wylewa on za kołnierz. Tak więc ci dwoje weszli do środka i tam zostali zaatakowani. Ślady na ciałach ofiar świadczą o użyciu bardzo ostrych narzędzi - niczym szpony dzikich zwierząt - i o wyjątkowej brutalności sprawców. Będziemy informować o przebiegu śledztwa - zakończył oficer.

Dziękuję za informacje - przejął rozmowę spiker - jak tylko dowiemy się czegoś więcej, na bieżąco będziemy państwa informować. Zostańcie z nami.

Dopiero około kwadransa po wysłuchaniu tej informacji Emily i Bobby doszli do siebie. Rozważali powrót do domu, lecz ostatecznie zdecydowali się jechać dalej i trzymać się bezpiecznych miejsc - miejsc pełnych ludzi, takich, w których mogliby zniknąć w tłumie i nie stać się ofiarami. Nie wiedzieli, że jeszcze dzisiejszego popołudnia znajdą się w takiej sytuacji, z jaką bezskutecznie zmierzyła się dwójka młodych już na zawsze turystów.

Dalsza podróż mijала w ponurej atmosferze, jedynie od czasu do czasu Emily i Bobby odzywali się do siebie. Chcieli już dojechać na miejsce i być tłumie ludzi - schować się bezpiecznie pośród nich.

Ruch na drodze zwiększył się i teraz jechali wolno za sznureczkiem aut.

- Dobrze, że już dojeżdżamy - stwierdził Bobby, a Emily tylko zerknęła na niego nic nie odpowiadając. Około 20 minut później minęli tabliczkę „Łądek Zdrój” i skierowali się ku wyciągom. Podziwiali górujący w oddali nad miastem szczyt góry, na zboczu której znajdował się wyciąg. Cieszyli się, że nareszcie poszuszają na nartach i powoli zapomnieli o słyszonym pół godziny wcześniej komunikacie. Gdyby nie wyłączyli radia, usłyszeliby kolejne mrożące krew w żyłach wiadomości i wiedzieliby, którego miejsca oprócz baru „Dobry flaczek” powinni jeszcze unikać. Radio jednak pozostawało wyłączone, a oni z niecierpliwością oczekiwali, by wjechać

wreszcie na parking, przywdziać narty i ruszyć ku wyciągom. Mimo wczesnej godziny sporo aut stało już zaparkowanych. Emily i Bobby wjechali na wskazane im miejsce parkingowe i wysiedli z auta. Oboje z zachwytem patrzyli na ośnieżone górskie zbocze przeciętane wieloma wyciągami różnego typu. Były wyciągi talerzykowe, orczykowe dwuosobowe i kilka wyciągów krzeselkowych - podwójnych i poczwórnych. Największy podziw wzbudziła w nich jednak oddana dopiero co do użytku kolej gondolowa. Zamknięte wagoniki na 8 osób każdy, oddalone od siebie co około 50 metrów mknęły wprost na szczyt góry, na świeżo przygotowane nowe trasy zjazdowe.

- Musimy ją przetestować - zachwycił się Bobby.

- A nie będziesz się bał zjeżdżać z samej góry? - szydziła z niego Emily.

Bobby tylko się krzywo uśmiechnął i szturchnął ją. Wiedział, iż mimo tego, że ciężko trenował i tak technicznie jeździł gorzej od Emily. Ale tym razem jej pokaże, kto tu rządzi. Zamierzał nie odstawać od niej. No przynajmniej nie za bardzo. Otworzył bagażnik Mondeo i wyciągnął z niego buty narciarskie, narty i kijki. Przywdziali buty, Bobby wziął na ramię ich narty, a kijki poniosła Emily. Skierowali się ku kasom, gdzie Emily zakupiła im całodniowy karnet i szybkim krokiem ruszyli ku dolnej stacji wyciągu gondolowego.

Wiał dość porywisty wiatr, który sypał im śniegiem w twarz, nogi i ręce powoli zaczęły im kostnieć z zimna, oni jednak jak zahipnotyzowani kroczyli do celu. Niewielka kolejka do gondoli szybko posuwała się do przodu. Stanęli na jej końcu i już po dwóch minutach szykowali się do wejścia do wagoniku. Te normalnie jechały ze sporą prędkością, jednak na stacji zjeżdżały na boczny tor i wolno przesuwały się do przodu, tak więc bez problemu można było wejść do środka, wcześniej zostawiając narty w specjalnych koszach na zewnątrz wagonika. Emily i Bobby tak właśnie zrobili i wsiedli, a za nimi jeszcze cztery osoby.

Wagonik zjechał z bocznej taśmy na linę i zaczęli sunąć w górę. Jazda przebiegała w milczeniu, każdy podziwiał widoki na zewnątrz, gdyż wszystkie cztery ściany wagonika były całkowicie przeszklone. Po 10 minutach dotarli na szczyt i wysiedli z wagonika. Dookoła rozciągał się wspaniały widok na Łądek i okolice.

Nasi bohaterowie przez chwilę zachwycali się krajobrazami, szybko jednak ruszyli w dół stoku. Był on dobrze przygotowany do jazdy i świetnie naśnieżony, tak więc jazda sprawiała im niesamowitą frajdę.

Kilkakrotnie wjeżdżali na górę i zjeżdżali z niej, Bobby silił się na ile mógł, jednak nie zdołał dorównać Emily. Zauważył jednak z satysfakcją, że zbliżył się znacznie do jej poziomu i to sprawiło, że miał najlepszy od dłuższego czasu humor. Koło południa zrobili sobie przerwę w restauracji „Na stoku”. Bobby zjadł kiełbaskę z grilla, natomiast Emily jej ulubiony smażony ser. Byli zachwyceni panującymi tutaj warunkami i niewielkimi kolejkami pod wyciągami. Po przerwie na lunch ponownie ruszyli na stok i następne parę godzin kontynuowali białe szaleństwo.

Około 16tej zaczęło się ściemniać i postanowili zakończyć zjeżdżanie.

- Kiedyś zamówimy tu nocleg i zostaniemy na nocne jazdy - stwierdził Bobby.

- Koniecznie - rzekła Emily - było rewelacyjnie.

Zjechali na dół na parking i chwilę odsapnęli przy samochodzie. Spakowali narty, kijki, przebrali buty i szykowali się w drogę powrotną. Byli w tak dobrych nastrojach, że całkowicie zapomnieli o słyszanych rankiem wiadomościach. Mieli jedynka jeszcze sobie o nich przypomnieć.

Wsiedli do auta i ruszyli w drogę powrotną. Było już ciemno, jednak noc była gwieździsta i księżyc w pełni rozświetlał im drogę. Przejeżdżali przez Łądek i podziwiali to malownicze miasteczko.

- Może zatrzymamy się gdzieś na jakąś rybkę? - zaproponował Bobby.

- Nie ma problemu - zgodziła się Emily - tuż za miastem była niezła smażalnia, chyba „Crazy Fish” czy jakoś tak - tam możemy coś wszamać.

Przejechali przez Łądek i wyjechali na nową, szeroką drogę - niedawno odremontowaną. Po prawej stronie ledwo dostrzegli napis „Crazy Fish” widniejący na niewielkim budynku.

- Ten napis nie był podświetlany? - spytał Bobby kierując auto na parking.

- Był - przytaknęła Emily - może jest zamknięte, chociaż nie, chyba świeci się w środku.

- Zaraz zobaczymy - Bobby zaparkował auto i zgasił silnik.

Wysiedli z samochodu i skierowali się ku drzwiom smażalni. Otaczała ich głucha cisza, a jedynie dwie latarnie rozświetlały podwórkę przed knajpą. Bobby wyciągnął rękę i złapał za klamkę. Spodziewał się, że nic to nie da, że jest zamknięte, jednak drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Bobby, a tuż za nim Emily, weszli do środka. Było tu jeszcze ciemniej niż na zewnątrz. Parę słabych żarówek dawało z siebie wszystko, jednak wyraźnie przegrywało walkę z mrokiem. Nic dziwnego, bo sala była bardzo duża, gęsto zastawiona stolikami. Jednak nikt przy nich nie siedział. Emily i Bobby, gdyby nie byli tak zmęczeni całonocnym szaleństwem, z pewnością by to dostrzegli. Oni jednak tylko szybko przeszli przez całą salę i doszli do baru. Po drugiej stronie jednak nikogo nie było.

- Dzień dobry! - kulturalnie odezwał się Bobby, mimo iż był niezbyt pocieszony, gdyż jego żołądek wyraźnie dawał mu do zrozumienia, że ostatni posiłek zjadł około czterech godzin temu.

- Może nikogo nie ma - szepnęła niepewnie Emily.

Odwrócili się jednocześnie i dopiero dostrzegli to, co powinni zauważyć już po przekroczeniu progu. Olbrzymia sala świeciła pustkami. Tam, gdzie zawsze przesiadywały tuziny ludzi, nie było nikogo. W obu młodych umysłach jednocześnie zapaliła się lampka ostrzegawcza. Coś tu jest cholernie nie tak - pomyśleli, niestety odrobinę za późno. Za plecami usłyszeli cichy szmer i wyczuli czyjąś obecność jeszcze zanim zdążyli się odwrócić. Jednocześnie przypomnieli sobie dzisiejsze poranne wiadomości - o dwójce brutalnie zamordowanych młodych ludzi. Gdyby słuchali dalej radia zamiast je wyłączać, dowiedzieliby się, że kolejna para zaledwie godzinę później również nie miała szczęścia i spotkał ich taki sam los w innym miejscu. Ale tego Emily i Bobby nie wiedzieli, brali puch wybielił im mózg i dopiero teraz zdali sobie sprawę, że złamali poranną zasadę - trzymać się dużych skupisk ludzi. Tutaj nie było nikogo - oprócz nich i kogoś lub czegoś wyłaniającego się za ich plecami. Gwałtownie odwrócili się w kierunku baru, myśląc, że to już koniec, że już nigdy nie skorzystają ze swoich nart i znieruchomieli. Oto przed nimi stał zwykły człowiek w średnim wieku - nie jakiś psychopata ani dziki zwierz gotowy rozszarpać ich na kawałki.

- Dzień dobry - powiedział - przepraszam, nie chciałem państwa wystraszyć - zauważył, że młodzi patrzą na niego, jakby zobaczyli ducha - mamy ostatnio mało klientów, wszyscy udają się do nowo otwartych smażalni pod wyciągami i do mnie mało kto zagląda. Nazywam się Antoni Pstrągowski, jestem właścicielem tego miejsca.

- Dzień dobry - niepewnym głosem zdołał odpowiedzieć Bobby - rzeczywiście zawsze tutaj był duży ruch, a dzisiaj nikogo.

- Musiałem zwolnić kilka osób, a jak tak dalej pójdzie, pewnie będę musiał zwinąć interes - ze smutkiem wyznał Antoni - ale nie ma co się martwić na zapas, sezon tak naprawdę dopiero się zaczął - co wam podać Moi Drodzy?

- Chcielibyśmy prosić dwa pstrągi z pieczonymi ziemniaczkami - odparł Bobby.

- Świetny wybór - tak naprawdę najlepszego pstrąga zjecie tylko u mnie - wychwalał Antoni.

Co do tego - jak zgodnie stwierdzili potem Emily i Bobby - właściciel smażalni się nie mylił. Pstrąg był pyszny - świetnie przyprawiony i z niewielką ilością ości. Zjedli go ze smakiem, zapłacili i życzyli Antoniemu powodzenia, pocieszyli go, że klienci na pewno wrócą w jego progi. Potem wsiedli do auta i ruszyli w kierunku domu.

Byli zadowoleni, że zdecydowali się na tą wyprawę i rozważali, kiedy jeszcze by tu przyjechać. Po godzinie jazdy Bobby poprosił Emily, aby zjechała na stację benzynową. Emily tak też zrobiła i zatrzymała się na miejscu parkingowym obok stacji. Bobby wyskoczył z auta i poleciał ku drzwiom stacji. W środku świeciły się światła, jakże więc był zdziwiony, gdy okazało się, że drzwi są zamknięte. Zajrzał do środka - pusto. Wyraźnie poirytowany odszedł od stacji w kierunku pobliskiego drzewa i tam załatwił potrzebę. Gdy się odwrócił, jedyne co zauważył to błysk ostrza siekiery, które zbliżało się do jego szyi. Więc jednak nie wybierze się już w góry razem z Emily, pomyślał wydając z siebie okropny krzyk. Jednak zanim jeszcze ostrze pozbawiło go głowy, wokół zrobiło się białe i ta biel się poruszała, jakby wpadała w jego oczy, ale do nich nie docierała. Dopiero po chwili zobaczył wycieraczki omiatające śnieg z szyby,

- Dzień dobry - rzekła Emily - już dojeżdżamy - jaśnie pan miał się ze mną zamienić, ale oczywiście zasnął - była wyraźnie wkurzona na narzeczonego - co tam ci się śniło, zbudziłeś się jak oparzony.

Bobby nie wiedział, co się dzieje, był cały odrętwiały. „Przerywamy blok muzyczny, aby nadać państwu przerażający komunikat” - usłyszał w radiu...

7. Siódma opowieść- PART I

Człowiek Znikąd wjeżdżał w granice niewielkiej miejscowości położonej na południowym zachodzie. Zjechał z głównej drogi i jego oczom ukazały się niewielkie domki położone po obu stronach drogi. To musi być gdzieś tutaj - pomyślał i powoli przemierzał kolejne kilometry. Wszystkie domki wyglądały podobnie do siebie, wokół panowała dziwna cisza i żaden inny samochód nie znajdował się w polu jego widzenia.

Zdarzenia ostatnich paru miesięcy były - delikatnie mówiąc - dziwne. Przygody, jakie jego spotkały - i tak były jedne z najnormalniejszych. Nadal jednak pamięta, jak obudził się, nie wiedząc, kim tak właściwie jest i nie pamiętając niczego ze swojego życia. Na szczęście była to tylko krótkotrwała utrata pamięci. No i potem ten groteskowy sen. Wydawało mu się, że nie może być nic bardziej dziwnego, jednak jego znajomi opowiedzieli mu jeszcze bardziej zatrważające historie, jakie im się przydarzyły. Aż trudno mu było w nie uwierzyć. Ale z drugiej strony w swoją opowieść też by chyba nie uwierzył. Nie mógł się doczekać, aż będzie mógł poznać bliższe szczegóły zdarzeń, jakie ich spotkały.

Wolno toczył się wzdłuż kolejnych bliźniaczo podobnych domków, gdy nagle naprzeciw niego wyszli trzej goście z giwerami w rękach. Nie wyglądali na przyjaźnie usposobionych. Jednak Znikąd nie przejął się, tylko zatrzymał samochód i wysiadł z niego. Nawet nie drgnął, gdy uzbrojeni mężczyźni podeszli do niego.

- Dalej pan nie pojedzie - powiedział jeden z nich.

- Nie mam takiego zamiaru - odpowiedział Znikąd i uśmiechnął się.

Pozostali goście również się uśmiechnęli.

- Nieźle zadupie, nie nudzi Wam się tu - zapytał Człowiek.

Andrew, Voytek i Macieyo tylko się zaśmiali.

- Ostatnio jakoś nie jest tu nudno - powiedział Andrew - parkuj swojego złoma na podjeździe, pogadamy w środku.

Człowiek Znikąd wsiadł do auta i zaparkował koło domu, jaki wskazali mu jego starzy znajomi.

Dom był otoczony wysokim na ponad 2 metry murem z wysoką bramą i furtką. Woytek zaczął otwierać furtkę, gdy nagle stojący obok Macieyo w mgnieniu oka podniósł shotguna w kierunku Człowieka i wypalił. Kula świsnęła koło jego głowy i utkwiała w paszczy czegoś, co przypominało zmutowanego psa.

Wszyscy pośpiesznie przeszli przez furtkę, rozglądając się dookoła, czy inne stwory nie czekają w pobliżu.

Weszli za ogrodzenie i zamknęli drzwi.

- Co to było? - zapytał Człowiek - w życiu nic takiego nie widziałem!

- My już widzieliśmy takich kilka - odpowiedział Andrew.

- I to w różnych odmianach - zażartował Macieyo.

Nikomui nie było jednak do śmiechu, bo wiedzieli, że stwory się gromadzą i jeśli przypuszczą zmasowany atak, nie będzie tak wesoło.

Człowiek rozejrzał się dookoła - dom był otoczony wysokim na 2 metry murem i wydawał się bezpieczną przystanią.

- Chodź do domu - zaproponował mu Voytek - tam Ci wszystko opowiemy.

Weszli do środka i Znikąd się uśmiechnął, bo zobaczył tam swoich starych znajomych.

- Siemanko! - zawołał Ralf - kopę lat!

Za nim pojawili się Emily i Bobby oraz Eleonora i również się przywitali. Zнали się od dawna i Człowiek był bardzo rad widząc ich.

- Chodźcie do salonu - zaproponował Andrew - wygląda, że mamy sobie wiele do opowiedzenia.

Przeszli do dużego salonu, w którym były wysokie okna od podłogi po sufit i rozciągał się widok na park. Liście na drzewach mieniły się różnymi kolorami, jesień była już za pasem i jakby symbolizowała zmierzch czegoś, tylko czego? - zastanawiał się Znikąd.

Wszyscy rozsiedli się na wygodnych kanapach i zaczęli po kolei opowieści o swoich przygodach. Ty, drogi czytelniku, już te historie dobrze znasz - z poprzednich opowiadań. Ralf opowiedział o swoim demonicznym skrócie, z którego już na pewno nigdy nie skorzysta. Eleonora o sąsiadach z mieszkania piętro wyżej. Bobby i Emily o górskiej przygodzie. Andrew, Voytek i Maciey natomiast o swoim "zwierzątku".

Po wysłuchaniu tych opowieści Człowiek zdał relacje ze swoich przygód w mieście Nowhere. Wszyscy zastanawiali się, co to może oznaczać, że wszystkich spotkały dziwne zdarzenia i teraz każdy z nich znalazł się w tym domu.

Historia tego domu również była tajemnicza i dziwna. Obecnie należał on do Andrew, który go odziedziczył po jakimś stryjecznym wujku, o którym nawet w życiu nie słyszał. Więc skąd on go znał? Andrew nie mógł dojść do tego i nikt z żyjących członków jego rodziny nie potrafił mu pomóc w rozwiązaniu tej zagadki. Zgłębił natomiast historię tego domu - i ta go przerażała.

Był on wybudowany przed zaledwie 50 laty. Skąd więc tutaj, w centrum miasta, było miejsce na taką rozległą posiadłość ze sporym ogrodem? Andrew powędrował do ratusza i tutaj dokopał się do kronik miasta, w których widniały informacje na temat tego, co było poprzednio w tym miejscu. "Katedra Poznania Wszystkiego" tak się zwał budynek, który tu się znajdował. Jakaś świątynia - myślał Andrew. Nigdzie jednak nie było wzmianek, jak nagle domek jego stryjka - Lou Cyfer'a - znalazł się w tym miejscu.

Andrew nie poddawał się i węszył dalej. W archiwum miejskim przekopał wszystkie papiery, które mogły mu dostarczyć informacji. Niestety nadal miał niepełne dane. Historia przytaczała losy świątyni do pewnego momentu, a potem były już zdarzenia związane z posiadłością. A w środku jakby czarna dziura.

Nie zraziło go to jednak i dotarł do pewnego ekscentrycznego staruszka, który zbierał od wielu lat ciekawostki na temat Miasteczka. W jego archiwum dokopał się do brakującego fragmentu historii - którego zapewne wolałby nie znać.

Dom, w którym teraz mieszkał, został wzniesiony na zgłiszczach świątyni. Okazała się ona miejscem kultu należącym do sekty, której członkowie powołali do życia umarłych, których w prawie żaden sposób nie można było zabić. Wyjątkiem było pozbawienie ich głowy lub spalenie.

Kiedy eksperyment wymknął się spod kontroli postanowiono sprawę zakończyć i zwabiono wszystkie istoty do środka świątyni. Wtedy została ona zamknięta i spalona.

Potem miejsce to ładnie uprzątnięto i trafił się stryjek Andrew, który wybudował tu swoją posiadłość.

Andrew myślał, że już go nic nie zdziwi, kiedy dotarł do nazwiska władcy sekty, która obudziła umarłych. Był to Lou Cyfer - jego stryjek. Okazało się, że zamieszkał na miejscu szczątków żywych martwych.

- Niezła historia - skwitował Znikąd - gdyby nie dzisiejszy "piesek" uznałbym ją za niewiarygodną. Czy ta sekta ma coś z tym też wspólnego?

- Myślimy, że tak - powiedział Voytek - Andrew dotarł do materiałów świadczących, że kult jest dalej kontynuowany. Przedstawiciele sekty chcieli nawet, aby odstąpił dom.

- Dobra, nie ma co debatować - przerwał dyskusję Macieyo - proponuje teraz trochę odpocząć i potem postanowimy, co robić. Na razie nie wygląda na to, aby Ci inni mieli przypuścić jakiś zmasowany atak.

Okazało się potem, że bardzo się pomylił.

Człowiek Znikąd poszedł do pokoju, który wskazali mu jego znajomi i rozpakował się. Na dworze się ściemniło. Leżał sobie właśnie na kanapie pod oknem, gdy jego zmysły podpowiedziały mu, że coś jest nie tak. W mgnieniu oka sturlał się z kanapy na podłogę tuż przed tym, jak okno stłukło się na kawałki. To jest niby szyba antywłamaniowa - przebiegło mu jeszcze przez myśl tuż przed tym, jak jego umysł ogarnęła ciemność.

Znikąd powoli otworzył najpierw jedno, potem drugie oko. Czuł się cały obolały i nie wiedział gdzie jest i co się z nim dzieje. Po chwili przypomniał sobie moment jak sturlał się z kanapy i szyba rozbiła się w drobny mak. W tej chwili miał na sobie cały stos cegieł, ale czuł, że może ruszać rękami i nogami. To dobrze, pomyślał, jestem w stanie się z tego wygrzebać. Tylko czy powinienem?

Siedział pod gruzami jeszcze kilka minut nasłuchując, lecz z pobliza nie dochodziły go żadne dźwięki. Powoli zaczął usuwać z siebie cegły, najpierw oswobodził jedną, potem drugą rękę i powoli wystawił głowę.

W ścianie widniała wielka dziura, jak po detonacji jakiegoś ładunku wybuchowego, od strony hallu świece rzucały delikatny blask.

Człowiek powoli oswobodził się z gruzów i wyrztał z pokoju. Niestety widok nie należał do przyjemnych - jego przyjaciele mieli mniej szczęścia od niego i wszyscy leżeli rozszarpani w hallu obok sterty szczątków zombie.

Nie zdążyło jeszcze do niego dotrzeć, co się stało, gdy usłyszał dziwne dźwięki dochodzące z góry - zbliżały się do schodów. Znikąd nie zamierzał czekać, aż wydające je istoty zejda na dół, mając go jak na talerzu. Rozejrzał się dookoła i spostrzegł małe drzwiczki u podnóża schodów. Otworzył je i wszedł do środka. Zaryglował za sobą wejście i w tej chwili usłyszał na zewnątrz jakby węszenie.

Jeżeli mnie wywęszą, to po mnie, te drzwi nie wytrzymają naporu tych kreatur. Poświecił telefonem dookoła. Nic tylko deski z jednej i ceglana ściana z drugiej strony. Tchnięty przeczuciem zaczął dokładnie badać każdy kawałek ceglanej ściany, gdy tymczasem coraz dziwniejsze dźwięki dochodziły go z zewnątrz. Czuł się jak ptaszek w klatce, do której zaraz dobierze się wygodniały kot.

Nie miał nawet przy sobie żadnej broni, którą mógłby odeprzeć choć na chwilę atak wygodniałych monstrów. Zniechęcony nastawił się na najgorsze, gdy tymczasem jedna z cegieł, którą dotknął, drgnęła. Po chwili obok otworzyły się małe tajemne drzwi i Znikąd niewiele myśląc wszedł przez nie do ciemnego tunelu słysząc, jak za nim drzwiczki z cichym skrzypnięciem się zamykają. Poczuł jednocześnie ulgę i przerażenie - czy przypadkiem nie wpadł z deszczu pod rynnę.

Szedł tak po omacku na czworakach, bojąc się nawet poświecić sobie trochę telefonem. Po paru minutach nikłe światło zaczęło przebijać się na końcu korytarza. Przeszedł jeszcze kawałek i drzwi rozstały się - podobne do tych, które minął wcześniej. Wszedł do pomieszczenia niemal identycznego jak to pod schodami, w którym się schronił.

Szarpały nim dziwne uczucia, jakby przebył długą drogę, chociaż korytarzyk mógł mieć może jakieś 100 metrów. Zastanawiał się, czy przez drzwi, które widzi, wyjdzie do hallu pełnego zombie, gdy zauważył, że światło, które przebijało przez szczeliny między deskami to światło dzienne. Jak to - pomyślał, przecież już na dworze jest ciemno, było ciemno jak wchodziłem do tego korytarza.

Uchylił powoli drzwi i wyrzął na zewnątrz. Hall zatopiony był w świetle dziennym. Nagle dotarły do niego głosy. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć, że to prawda. Nadstawił uszu. Tak - to były głosy jego przyjaciół - żywych i rozmawiających w salonie. Właśnie coś mówił Macieyo:

- Dobra, nie ma co debatować, proponuje teraz trochę odpocząć i potem postanowimy, co robić. Na razie nie wygląda na to, aby Ci inni mieli przypuścić jakiś zmasowany atak...

To be continued...